# ROZMAITOŚCI.

Dnia 24. Marca. № 12. Roku 1857.

## DO HISTORYI SZKOŁY KRZEMIENIECKIEJ.

Dwaj obywatele gubernii wołyńskiej pp. Karol Kaczkowski, niegdyś nauczyciel hygieny w Krzemieńcu, poźniej nominowany profesorem terapii przy uniwersytecie warszawskim, autor wielu uczonych dzieł, i Antoni Kamieński honorowy kurator gimnazyum rowieńskiego, umyślili ogłosić historyę słynnej szkoły Czackiego w Krzemieńcu. Mianowicie jeden podjął się opracować nagromadzone w tym celu materyały, drugi wesprzeć tę pracę nakładem. Czyniąc zadość życzeniu obudwóch szanownych mężów, umieszczamy kilka dotyczących tego zamiaru pism.

### I.

*Do Karola Kaczkowskiego od Antoniego Kamieńskiego.*

Upływa kilka miesięcy jak widziałem u WPana obszerne i zamożne zbiory rzadkich pamiętników o życiu i czynach Tadeusza Czackiego. Pocieszam się zatem niepłonną nadzieją, że z mojego natchnienia i wyrażonych powodów, zpod jego pióra wyjdzie dzieło ze szczegółowym opisem krzemienieckiej szkoły, której był założycielem i twórcą mąż wielki w zasługach publicznych i cały oddany powszechnemu dobru. Co do mnie zaręczam, że wszelkich starań dołożę w zebraniu potrzebnych do tego dzieła materyałów rozrzuconych po świecie i niemal zagrzebanych w zapomnieniu.

Patrzyłem jeszcze obecnie jak na wątłych szczątkach wydziałowej szkoły pod przewodnictwem rektora Tylkowskiego, Czacki olbrzymim pomysłem ugruntował mocną podstawę gmachu ustanowionego gimnazyum, dokąd wprowadzając wyższe umiejętności, sam przez się rzucił ziarno na poźniejszy zakład wołyńskiego liceum, który już po jego zawczesnym zgonie dla narodowego oświecenia otworzonym został. Nie byłyżto czyny godne wspomnień potomności? i nie sąż dla pana silnym bodźcem w jego usiłowaniach i pracy? Nie ustawaj przeto w swojem przedsiebiorstwie, pomnij że wołyńska ziemia, gdzie jesteś naszym współziomkiem, jest kolebką urodzenia tego wielkiego człowieka, i że byłeś uczniem tego nauk przybytku, który dobroczynnością cesarza Alexandra I wzniesiony, wspaniałemi ofiarami obywateli wołyńskich wzbogacony, w krótkim przeciągu czasu już prawie stanał na równi z uniwersytetem wileńskim, na co się wieki składały i hojna w Polsce panujących królów szczodrota.

Dochodzi blisko lat 50, jak Czacki życie, pełne niezatartej chwały, zakończył; dotąd jednak w sercach wdzięcznych nie wygasły dla niego przychylne uczucia, i te ojcowie przekażą w puściźnie następcom swoim. Ubyło znacznie tych ludzi, którzy byli naocznymi świadkami jego wysokich czynów, mających na celu rozszerzenie narodowej oświaty, rzadkiej i wzorowej wytrwałości w pracy. Zaciera się codziennie obraz tej świątyni nauk, zkąd wychodzący uczniowie w rozmaitych gałęziach powołania swojego zajmując wszędzie świetną posadę, pięknemi talentami uświetnili pismiennictwo nasze; byli dobrymi urzędnikami, i w niczem nigdy niesplamili prawości charakteru i przyjętych obowiązków, uważając to być długiem, z którego najszlachetniej wywiązać się powinni społeczności, słowem śmiało rzec można, że służyli z pożytkiem krajowi. Najłatwiej czyto z zawiści, czyli też z niechęci lub niewiadomości, oczerniać dzieła napiętnowane cechą wielkości i sławy. Kto był silnym i niezwalczonym obrońcą krzemienieckiej szkoły, i pierwszy powstał z odpowiedzią na wymierzone przeciw niej pociski, ten pewnie trzymając się słuszności i prawdy, z właściwą godnością całą jej świetność i wynikłe korzyści odkryje. Niech więc grobowiec Czackiego, świeżemi kwiaty uwieńczony, będzie niejaką zachętą dla teraźniejszej młodzi w zbieraniu umiejętności na ojczystej niwie, a otoczony najdroższemi pamiątkami, przekaże w chlubnem i rzetelnem

świadectwie jego wysokie cnoty odległej potomności.

## II.

## PROGRAMMA

*dzieła o Tadeuszu Czackim i o szkole krzemienieckiej.*

Oddając należny hołd wdzięczności pamiątce Tadeusza Czackiego za dźwignioną w południowych prowincyach oświatę przez założenie w Krzemieńcu celniejszej nauk świątyni, winniśmy wyrazić, jakie ten nieśmiertelnej pamięci mąż ponosił trudy, jakie czynił niezmordowane usiłowania, jakie wielkie łożył ofiary z własnego majątku, zdrowia, życia i genjuszu, nim wielkie dzieło swoje, owoc olbrzymich prac, przyprowadził do skutku. Zatem zeszyt pierwszy rzeczonego dzieła z obrazem założyciela przybytku nauk w Krzemieńcu i bezprzykładnych poświęceń się jego dla dobra rodaków, ma objąć niejako wstępne wiadomości autorów w ich odezwie do ziomków, a mianowicie do wychowańców krzemienieckiej szkoły o nadsyłanie materjałów; cel i zamiar ich dzieła; rozmaite o niem listy; dyplomat N. cesarza Alexandra I przez Czackiego dla kraju wyjednany, toż programma i układ, wedle których każda część dzieła będzie skreślona. Przy końcu więc pierwszego zeszytu będzie umieszczony układ całego dzieła jako wskazówka wypracowania każdej części jego z kolei, i jako obeznanie powszechności z jego celem i dążnością, a mianowicie w następnych częściach będą położone:

1) Nauki teologiczne.
2) Nauki fizyczno-matematyczne.
3) Nauki filozoficzne.
4) Nauki prawnicze.
5) Filologia i literatura starożytna.
6) Filologia i literatura nowożytna.
7) Nauki historyczne.
8) Sztuki piękne.

W każdym z wymienionych tu oddziałów wiadomości ludzkich, pojedyńczo przy każdym oddzielnym przedmiocie naukowym, zostaną wyrażone system i metoda publicznego wykładu profesora; szczegóły o nim biograficzne; dzieła jakie drukiem dla postępów swojej nauki ogłosił; wypracowane rękopisma jakie zostawił, toż naukowe pomocy jakich mu edukacyjny zakład w swoich zbiorach dostarczał. Następnie położeni będą pod każdym objektem wychowańcy szkoły, którzy z niej wyszedłszy, dali się przez ogłoszone w tym przedmiocie dzieła poznać światu, a przeto przyczynili sie do jej chwały. Noty i przypisy do każdego zeszytu lub tomu na końcu tegoż zawierać będą szczegóły ważne, które lubo ściśle do treściwego historycznego opowiadania nie należą, jednakże rzucają wielkie światło na tę pracę, podają wyrazistsze dzieła objaśnienie. Tu także znaleźć powinna miejsce każdego drukowanego dzieła bibliografia, wedle systematycznych jej zasad ułożona.

Szanowne Redakcye pism czasowych uprzejmie upraszamy o powtórzenie tego programmatu.

*Karol Kaczkowski*, radca stanu, kawaler orderów, doktor medycyny, członek wielu uczonych towarzystw.

*Antoni Kamieński*, honorowy kurator gimnazyum rowieńskiego.

Żytomierz d. 20 stycznia 1857 r.

## III.

*Do krzemienieckich kolegów Karola Kaczkowskiego.*

Zbierać wiadomości i wszystkie ślady poczciwego i zasłużonego życia jest obowiązkiem dla społeczności, jest długiem należnym temu życiu. A gdy to życie jest z sercem całego narodu złączone, gdy łza po niem nigdy zaschnąć nie może, tam o takim mężu, o Tadeuszu Czackim przechowują się wspomnienia, rozrzucone jak narodowe świętości, oczekują rychło je kto zbierze, ułoży i narodowi w podarku odda; do takiego dzieła pracy i usposobienia potrzeba; całkiem odpowiedzieć temu przedsiewzięciu ani pomyślałem, ale choć w części wywiązać się z obowiązku wychowańca szkoły krzemienieckiej, wtedy kiedy mnie starania i prace współkolegów i współobywateli moich, w potrzebne zaopatrzyły środki, postanowiłem, i dziś w wiejskiem zaciszu dokonałem.

Szkoła krzemieniecka w całym swoim składzie jako otwarte pole działań Czackiego, jako dokonany czyn wielkiej jego myśli, musiała zająć największą część zbioru mojego. A gdy od chwili zawiązku myśli Czackiego o tej szkole, utworzył się długi ciąg korrespondencyi listowej między nim a Hugonem Kołłątajem i Janem Śniadeckim w rzeczy narodowego oświecenia, należało mi choć ważniejsze z niej porobić wyciągi. Zajmującym jest, bo głęboko nauczającym ów rozwój intelektualnej roboty tych potężnych w owym czasie głów rozumu i nauki. Z kim Czacki w sprawie oświecenia korrespondował, co w niej zrobił, co chciał jeszcze zrobić, jakie

były jego stosunki z wysokiemi osobami u steru rządu będącemi, jakich u tronu doznawał względów, jakie obszernych swych wiadomości zostawił plony, starałem się zebrać i wam koledzy przedstawić. Jeśli więcej niż dotychczas, w tej narodowej sprawie zrobić potrafiłem, to wam się należy pp. Adamie Słowikowski, Józefie Kruczkowski, Samuelu Nowoszycki i t. d., a jeślim niedoścignął tak wielkiego celu, jakim jest opisanie żywota wielkiego męża, to na tobie panie kuratorze, Antoni Kamieński, a mój przyjacielu i stary kolego; niech leży cała przed ogółem odpowiedzialność, boś ty mnie w to wprowadził przedsiewzięcie, tyś nieodpowiedne me siły chciał radą i ochotą podkrzepić: lepiej byś sam potrafił dokonać tego dzieła, aleś wolał najskuteczniej pośredniczeć dostarczeniem źródeł i wszelkiej pomocy, niż zużytkować własne usposobienia i najszlachetniejszą gorliwość; podzielmy się więc winą. Koledzy przyjmą taką robotę na jaką nam stało, a publiczność więcej przebaczy niedołęztwu memu.

## BUKIET BALOWY.

(Dokończenie.)

— „Nie można było nazwać się otwarciej szczęśliwym posiadaczem bukietu!“

— „Gdyby i tak było, to musicie przyznać panowie, że księżniczka mogła była gorszy uczynić wybor“ — zakończył Wilhelm z wyrazem tryumfu i próżności.

— „Lecz mogła także nieco dyskretniejszego znaleźć powiernika“— ozwał się ktoś z tyłu, a całe grono zawtorowało mu głośnym śmiechem.

W tej chwili orkiestra zagrała kadryla. Młodzież rozpierzchła się na wszystkie strony. Jedni spieszyli do swoich danserek zamówionych, drudzy szli zamawiać na prędce; Wilhelm na czele kilku przyjaciół udał się do bocznej sali gry. Tylko jeden Henryk pozostał niemy i nieruchomy na miejscu, przypatrując się zdala zabawie.

Przez całą godzinę stał on tak w ponurem zadumaniu, aż nagle wstrząsł się gwałtownie, i błyskawica jakiegoś nieodzownego postanowienia mignęła mu w oczach. Obrócił się ku drzwiom, i szybkim acz nieco chwiejącym się krokiem pospieszył do sali gry.

Przesuwając się z obojętną a nawet znudzoną twarzą pomiędzy różne stoliki, zajęte od różnych osób i przez różne rodzaje gry, stanął Henryk wreście obok krzesła Wilhelma.

Młody baron grał z niesłychanem szczęściem, wygrywając razporaz.

— „Jaki szczęśliwy wypadek sprowadza cię tutaj?“ — zawołał spostrzegając nagle Henryka. — „Może masz ochotę sprobować gry?“

— „Nie byłbym od tego.“

— „Siadaj tedy cożywo. Może pozbawisz mię szczęścia, które dziś w najokropniejszy sposób mię prześladuje.“

— „Jakto? Więc pragnąłbyś przegrać?“

— „Nie inaczej. Mam bowiem dzisiaj nieznośne szczęście. Ograłem już pięciu czy sześciu przyjacioł, i wstydzę się na prawdę.“

— „Siadam tedy, i pewny jestem że przegrasz.“

— „I zkądże ci ta pewność?“

— „Miałeś zanadto wiele szczęścia w miłości, abyś mógł pozostać równie szczęśliwym w grze“ — odrzekł Henryk z wyrazem lekkiej ironii.

— „Prawda! Dlategoż sam się oskarzam. Jaka jest twoja stawka?“

— „Oznacz ją sam.“

— „Dziesięć luidorów za pięć punktów. Zezwalasz?“

— „Najchętniej.“

Po tych słowach usiadł Henryk do stolika, i w kilka chwil zawiązała się nowa gra.

Szczęście zaczęło w samej rzeczy opuszczać swego dotychczasowego ulubieńca. Henryk naznaczył już cztery punkty, Wilhelm tylko jeden. W tej chwili przyszła na Wilhelma kolej rozdawać karty. Wyrzucił przed siebie króla, a resztę talii chciał położyć na stole, gdy wtem szybko jak strzała wyrwał mu ją Henryk z ręki.

— „Baronie!“—zawołał z uniesieniem, przeszywając przeciwnika spojrzeniem wzgardy — „Jesteś nikczemnikiem.... grałeś fałszywie...“

A po tych słowach rzucił mu w twarz całą talię.

Wilhelm zerwał się z krzesła, i wydał dziki wykrzyk gniewu i oburzenia. Poczem zapominając nagle gdzie się znajduje, jakie towarzystwo ma w około siebie, i co zresztą winien swojej własnej godności, rzucił się z wściekłością ku Henrykowi. Na szczęście zaskoczyło mu drogę kilku przyjacioł, zapobiegając burdzie w domu książęcym.

— „Taka zniewaga! mnie!“ — krzyknął ochrypłym głosem, i łzy trysnęły mu z oczu.

Potem kilka razy potarł ręką po czole, jakgdyby chciał zatrzeć obelgę, którą rzucono nań przed chwilą.

— „Ja miałem grać fałszywie? ja! ja, szulerem?“ — zawołał z nową wściekłością. — „Wolałbym obwinionym być o zabójstwo!“

— „Puśćcie mię“ — rzekł po chwili do wszystkich, którzy go powstrzymywali. — „Jestem już spokojniejszym. Pozwólcie mi pomówić z nim bez gwałtowności. Jestem już panem siebie. Nie potrzebujecie obawiać się, abym zapomniał żem szlachcic.“

Po tych słowach postąpił o dwa kroki naprzód ku Henrykowi, który przez całą scenę stał spokojnie po drugiej stronie stołu, i wzgardliwem spojrzeniem mierzył pieniącego się od złości przeciwnika.

— „Henryku!“ — zawołał Wilhelm, opierając się obudwoma rękami o stół. — „Henryku, porozumiejmy się. Jeśli nie jesteś obłąkanym, tedy przyznasz natychmiast, żeś się pomylił.... żeś skłamał.... Odwołaj zaraz twoje haniebne zaskarzenie... wyjaw jego powody....“

— „Nie myślę niczego odwoływać“.... odpowiedział Henryk.

— „Ależ pomnij, nieszczęśliwy, że rzucając na mnie podobną potwarz, zbezczeszczasz sam siebie. Będziesz rozgadywał że baron St***, posiadający ogromną fortunę i reputacyę człowieka honorowego, lubo poniekąd marnotrawcy, że ten baron St*** chciał ci nieuczciwym sposobem wydrzeć kilka luidorów... Nikt temu nie uwierzy....“

— „Ilekroć będę miał sposobność, i dopóki tylko żyć będę, wypowiem zawsze słusznie i śmiało, że baron St*** jest nieuczciwym człowiekiem!“

— „Przekleństwo!“

— „Nie skłamałem nigdy w mem życiu, mogę też być pewnym, że mi wszyscy uwierzą.“

— „Co za ohydny upor! Słuchaj Henryku, masz może powody bić się ze mną na śmierć lub życie.... Zezwalam na to. Tylko jakikolwiek inny daj temu pozor. Obwiń mię o co chcesz, tylko nie o podłość, nie o podłość na Boga!“

— „Nie mogę odwołać tego, co powiedziałem“ — odparł Henryk niewzruszony.

— „Więc chcesz koniecznie walki na śmierć?“ — zapytał Wilhelm, uderzając ręką o stół.

— „Jestem na twoje usługi...“

— „Żądam zadośćuczynienia natychmiast...“

— „I owszem.“

— „Niewdzięczny przyjacielu! Jam cię tak kochał.“

— „I ja ciebie kochałem, dopókiś mnie nie zmusił pogardzać tobą.“

— „Dobrze więc, zrobiłem wszystko, co wymagało sumienie. Przejdźmy teraz do czynu, niech pomszczę moją zniewagę, i ukarzę oszczerstwo..“

— „Mnieto pozostaje ukarać... a ukarać nikczemność.“

— „Bóg rozstrzygnie między nami.... Szpady mamy przy sobie. Wybierajmy świadków, a oni niech zajmą się resztą...“

Nie mogła być mowa o żadnem pojednaniu. Obowiązki świadków ograniczały sie na oznaczenie miejsca do walki.

Po krótkiej naradzie udali się przeciwnicy i sekundanci do parku pałacowego, który przypierał do samej Newy, i ułatwiał ucieczkę na wszelki nieprzewidziany wypadek.

Wszyscy gracze, którzy byli świadkami kłótni, pragnęli dowiedzieć się o losie walki! wszyscy też powychodzili do parku. Przyzwoitość nie dozwalała im udać się na samo miejsce walki, rozpierzchli się więc po różnych stronach ogrodu, przysłuchując się pilnie każdemu szmerowi od strony walczących.

Byłoto już nad rankiem. Pierwsze promyki słońca migotały po widokręgu. Blade to światełko wystarczało do kierowania ręką i okiem walczących.

Ustawiwszy się na oznaczonem przez świadków miejscu, uderzyli na siebie obadwaj z gwałtownością, jakiej się można było spodziewać po ich zawziętości wzajemnej.

Nie mogła walka taka trwać długo. Skończyli z sobą w przeciągu jednej minuty. Szpada Henryka ugodziła w ramię Wilhelma, który w tejżesamej chwili uderzył całą siłą w pierś przeciwnika.

Henryk upadł na ziemię, chwytając się ręką za serce. Młody baron rzucił szpadę na ziemię, i poskoczył co tchu ku przyległemu murowi, uciekając z tego miejsca śmierci i smutku.

Sekundanci pochwycili Henryka w swoje ramiona, i wolnym krokiem odnieśli go do niedalekiej oranżeryi. Zbiegli się tam natychmiast wszyscy towarzysze balowi, będący niedawno świadkami płochego przyznania się Wilhelma do bukietu księżniczki. Każdy odzywał się z swojem zdaniem. Najprzytomniejsi pospieszyli co tchu po lekarza. Inni rozbiegli się po szarpie do owinięcia rany. Sekundanci próbowali rozebrać Henryka, aby zata-

mować krew z rany, lecz młodzieniec przycisnął całą siłą rękę do piersi, i opierając się wszelkiemi siłami zamiarowi przyjaciół, powtarzał razporaz złomanym głosem:

— „Puśćcie mnie, nie potrzeba tego.“

Napróżno silono się kilkakrotnie przezwyciężyć dziwny opor umierającego. Ostatkiem sił swoich bronił się od przyjaciół, jakgdyby się obawiał, aby wraz z odsłonięciem ciała nie postradał i życia.

Nareście przybył lekarz, lecz jak to wszystkim prawie zaradczym środkom na cierpienia i troski nasze się zdarza, przybył za późno. Stanął nad ciałem Henryka właśnie w tej chwili, kiedy ostatnie wydał z siebie westchnienie, wymawiając jakieś imię tak cicho, tak tajemniczo, że nikt go nie dosłyszał, i tylko z poruszenia ust dorozumiano się słowa.

Henryk umarł nie dożywszy dwudziestu i dwóch lat.

Mimo jawnych znaków skonania, chciał lekarz obaczyć jeszcze ranę. Z trudnością zdołano oderwać zaciśniętą rękę trupa od serca, do którego zdawała się bronić przystępu. Rozpięto wreście suknie, i odchylono koszulę.

W tym momencie wyjaśniło się całe dziwne zachowanie się młodzieńca podczas balu. Scena przy kartach, pojedynek na śmierć, i wreście opor przeciw zbawiennemu zamiarowi przyjaciół przed skonaniem, wszystko to wytłumaczyli sobie obecni.

Na piersiach trupa, u samego serca, ujrzeli wszyscy z zdumieniem zakrwawiony i szpadą Wilhelma rozcięty bukiet księżniczki Heleny, ówto balowy bukiet z Paryża.

## Jak wygląda ziemia z balonu napowietrznego?

Pewien aeronauta angielski opisuje zajmującym sposobem widok, jaki przedstawia ziemia oczom żeglarzy napowietrznych. Dla ciekawości przytoczymy ustęp z tego opisu:

Byłoto w Londynie, w prześliczny dzień jesienny, kiedy nagły strzał armatni dał znak do rozwiązania sznurów, przytrzymujących balon. Natychmiast jakby jaka piłka olbrzymia podniosła się w powietrze chwiejąca się machina, czyli raczej natychmiast zaczęła zapadać się na dół ziemia jak sztuczna podłoga w teatrze. Skoro tylko rozległ się wystrzał, zdawali się ludzie stojący dokoła balonu coraz głębiej zapadać pod naszemi stopami. Ujrzeliśmy w tej chwili wszystkie twarze zwrócone w górę i mnóstwo rąk, wymachujących na pożegnanie.

W jednym momencie wzniosł się balon ponad szczyty najwyższych drzew; ulice Londynu wydały się nam przepełnione samymi karłowatymi Liliputami, a odgłos okrzyków, jakie wywołał na dole widok wznoszącego się balonu, dolatywał nas jakby pomieszany wrzask wypuszczonej na ulicę młodzieży szkolnej.

Teraz dopiero rozsnuł się przed nami ów widok osobliwszy, jaki przedstawia ziemia z tak wielkiej odległości.

Widok ten jest tém złudniejszy, ile że zdaje się zwyczajnie, jakoby balon stał w miejscu, a sama tylko ziemia oddalała się nieustannie. Kiedy balon wzniósł się wysoko w powietrze, powierzchnia ziemi przedstawiała szereg rozlicznych obrazów, które co chwila się mieniły jak obrazy w dioramie. I zdawało się, że jakiś duch niewidomy przesuwa dla naszej rozrywki wszystkie te różnorodne krajobrazy, jakgdyby najdziwniejszą rozmaitością chciał bawić nasze oczy.

Gdyśmy żeglując ponad Tamizą ku Richmondowi, wychylili głowy z naszej gondoli napowietrznej, uderzył nas widok przedziwny Domy wyglądały pod nami jak maluczkie cacka ze skrzyneczki zabawek dziecinnych, a ulice w mieście jak ślady kół po drodze. Ogłuszający gwar stolicy dolatywał uszu naszych jakby szmer pszczół w oddali.

Nieco dalej w kierunku, w którym odbywała się nasza żegluga, rozpościerały się pola, opasujące olbrzymią stolicę. Tu wyglądała ziemia z swojemi pagórkami, dolinami i strumykami jak owe kolorowane krajobrazy z gipsu. Drogi, przerzynające pola i łąki, były nito wąskie wstęgi brunatne; rzeka, która płynęła równo z nami, zdawała się długą, szarą gadziną, pełzającą po ziemi; statki, które po niej pływały, nie były większe od zwyczajnych owadów, a mosty wyglądały jak wąskie tarcice, łączące obadwa brzegi. Najrozleglejsze łąki nie dorównywały wielkością zielonym *prawdom* stołowym, a przemykający przez nie pociąg południowo-zachodniej kolei żelaznej wypuszczał lekkie kłęby dymu, podobne do pary z niewielkiego samowaru do herbaty.

Gdy wkrótce z nadejściem wieczora zajaśniało miasto w tysiącznych płomieniach gazu, zdawała się być ziemia oświetloną owemi lampkami blademi, które wieszają dzieci na swoich] drzewkach Bożego narodzenia;

przedmieścia i wioski pobliskie wyglądały natomiast jakby gęste roje robaczków świętojańskich. A przecież tuowdzie pomiędzy niemi dostrzegało oko małych punktów czerwoniawych, służących za sygnały kolejom żelaznym.

Za nami leżał Londyn, potwór olbrzymi, owiany gęstą mgłą białawą. Nie można było poznać, gdzie początek, gdzie koniec tego miasta ogromnego, bo gubiły się domy dokoła na widokręgu. Nieprzeliczone mnóstwo dachów wyglądało jakoby jedno brudne jezioro czerwoniawe, kołyszące się bałwanami nierównemi. Tuowdzie przebijały się maluczkie, jasne plamki parków i ogrodów, a gdzieniegdzie można było rozeznać plac miejski, niedorównywujący wielkości zwyczajnego opłatka. W niektórych miejscach przebijały mglistą powłokę olbrzymie wieże kościołów i szpiczaste kominy pieców fabrycznych.

Ów maluczki budynek, nie większy od filiżanki porcelanowej, to pałac buckinghamski z parkiem St. James, który rozpościera się obok niego jak rozłożony stolik do kart. Tam widać kopułę szpitalu bethlemskiego, podobną zupełnie do dzwonka przy drzwiach pierwszej lepszej kamienicy.

Tłumy ludu, które tuowdzie przesuwały się po placach miejskich, wyglądały jak drobne robaczki w serze; ulice nie były większe od szpar w murach, a pływające po Tamizie okręty można było poznać jedynie po owym cieniuchnym, czarniawym kosmyku dymu, który leniwo wlókł się za niemi.

I czarowny to widok przedstawiały wszystkie owe nieprzeliczone kościoły, szpitale, banki, więzienia, pałace, fabryki, doki, domy ubogich, place publiczne, parki, ogrody i altany, słowem cały ów Londyn olbrzymi, który w tej chwili zdawał się być tylko jedną wielką plamą czarniawą. Dziwne jakieś uczucie przejmuje człowieka, gdy z takiej oddali spogląda na ową mieszaninę zbrodni, skąpstwa, nikczemnego podstępu, uczuć szlachetnych, cnót wspaniałych, poświęceń heroicznych, jakie w tem jednem skupiają się miejscu — gdy podobny aniołowi widzi pod sobą to miasto olbrzymie, w którem na jednej małej przestrzeni znajduje się obok siebie więcej cnot i zbrodni, więcej bogactw i ubóstwa niż na całej części świata po drugiej stronie oceanu — gdy słyszy ten gwar nieustającego życia i ruchu, dolatujący go jakby niezmiernie oddalony szum jakiegoś morza rozhukanego — gdy buja w powietrzu, wolen od wszelkich zazdrości poziomych, od nienawiści i próżności — gdy daleki od zgiełku spraw ludzkich, używa spokoju dziecięcia w kolebce, i nito po drabinie Jakóba wstępuje do nieba, żegnając na zawsze ten świat kramarski, gdzie człowiek jest tylko monetą zdawkową, a przypowieść: „czyń twojemu bliźniemu, jakby on tobie chciał uczynić“, stanowi zasadę wiary w handlu i przemyśle — słowem gdy żeglując po bezmiernym przestworze powietrza, zda się oddechać już atmosferą niebios. zda się gwiazd dosięgać i przez krótką półgodzinkę czuć owe rozkosze rajskie, za któremi wszyscy wierni wzdychają na ziemi.

Przy każdej żegludze napowietrznej uderzają pewne zjawiska osobliwsze, o których warto wspomnieć kilką słowy. Przedewszystkiem zdziwia podróżnika złudzenie, jakoby balon nie ruszał się bynajmniej z miejsca. Machina wznosi się z wiatrem, przeco nie czuć wcale owego powiewu powietrza, który wywołuje każdy nasz ruch pospieszny. Z tejsamej przyczyny wydają się chmury zupełnie nieruchome jak skały, bo i one pędzą wraz z wiatrem, z równą nam szybkościa.

Ztąd nie można także poznać, czy balon wznosi się w górę, czy spada na dół. Tylko puszczone na wiatr papierki dozwalają zoryentować się w biegu. Jeśli one pozostają w dole, znak że się balon ciągle wznosi, jeśli zaś wzlecą w górę, tedy balon zniża się niezawodnie ku ziemi. Kiedy rozbił się balon, w którym wzniósł się w Vauxhall p. Albert Smith, mogli towarzysze jego niefortunnej żeglugi rozeznać niepowstrzymaną szybkość, z jaką spadali na dół, jedynie za pomocą podobnych na wiatr puszczonych kawałeczków papieru. A pan Green opowiada, że przebiegając raz podczas nagłej burzy 95 mil w godzinie jazdy napowietrznej, nie czuł bynajmniej szalonej gwałtowności, z jaką burza miotała jego balonem. Dlatego też nie masz żadnego niebezpieczeństwa dla podróżnika, dopóki balon unosi się w górze, równie jak dla okrętu, gdy płynie po otwartem morzu, lecz gdy balon zniży się ku ziemi, wtedy podobny jest do rozbitego okrętu, i staje się również igraszką wiatrów, jak okręt igraszką bałwanów.

Drugiem niemniej ciekawem zjawiskiem żeglugi napowietrznej jest osobliwszy widok powierzchni ziemi. Zdawała się ona raczej olbrzymią łupą wklęsłą, niż kulą okrągłą jak sobie wyobrażaliśmy. Złudzenie to jest skutkiem perspektywy, której prawa znane są dokładnie fizykom.

Zasługuje wreście na wzmiankę wpływ najwyższych warstw powietrza na słuch człowieka. Jestto takiesame dotkliwe i nieprzyjemne uczucie, jakiego się doznaje pod kołpakiem nurka, w głębinie morskiej. I rzecz osobliwsza! Kiedy pod kołpakiem nurka to nieprzyjemne uczucie wynika z parcia powietrza stężonego na błonkę w uszach, tedy w żegludze balonowej doznaje się tegosamego skutku z przeciwnej właśnie przyczyny, t. j. z powodu nacisku powietrza rozrzadzonego i rozprężonego. Zdają się tedy dwie zupełnie sobie przeciwne przyczyny wywierać jeden i tensam skutek. W rzeczywistości wszakże zachodzi w pierwszym i drugim wypadku jedna i tażsama przyczyna. Pod kołpakiem bowiem prze błonkę uszną nacisk zewnętrznego powietrza stężonego, a w balonie wywiera tensam wpływ powietrze zamknięte wewnątrz uszu.

## WYCHOWANEK NIEDŹWIEDZICY.

Kiedy jeszcze powątpiewano o autentyczności Pamiętników niezrównanego Paska, było w zwyczaju zwracać uwagę na to, czy która z opisanych przezeń osobliwości nie znajduje się w jakim autorze tamtoczesnym. Wyśledzono tym sposobem zgodność kilku anegdot Paska z napomknieniami w innych dziełach owej epoki. Do zestawień tego rodzaju możemy dodać następującą powiastkę o wychowanym przez niedźwiedzicę chłopcu litewskim, zapisaną z małemi odmianami przez Paska i lekarza króla Jana Sobieskiego, Connora.

Pasek pokazując się w roku 1662 na pokojach królewskich, zastaje oboje królestwo przy obiedzie, i tak opisuje dalej co tam obaczył: „Był tam niedźwiadek, inaczej w postaci niedźwiedziej człowiek, około lat 14 mający, którego Marcin Ogiński w Litwie, stawiając parkany, kazał żywcem do sieci nagnać i złapać, z wielką jednakże strzelców szkodą, bo go niedźwiedzie srogo broniły, osobliwie jedna wielka niedźwiedzica najbardziej broniła, znać że to była jego matka; tę skoro osacznicy położyli, zaraz też i chłopca złapano, który był właśnie taki, jak człowiek być powinien, nawet u nóg i rąk nie pazury niedźwiedzie ale człowiecze paznogcie były; tem się on tylko od człowieka różnił, że był wszystek długiemi, tak jak niedźwiedź, obrosły włosami, nawet i twarz cała, oczy mu się tylko świeciły, a o którym różni rozmaicie sądzili; między innemi mówiono, że to znać niedźwiedzica porwała gdzieś dziecko bardzo młode i wychowała, które że jej pierś ssało, dlatego też owo podobieństwo zwierzęcia przybrało. Nie miało to chłopczysko ani mowy ani obyczajów ludzkich, tylko zwierzęce. W tymżeto czasie podała mu królowa łupinę z gruszki, pocukrowawszy ją; on z wielką ochotą włożył to do gęby, a posmakowawszy, wyplunął na rękę, i z ślinami cisnął królowej między oczy; król począł się śmiać okrutnie, królowa rzekła coś po francuzku, a król jeszcze bardziej w śmiech. Ludwika jak to była gniewliwa, poszła od stołu.....“

Nieco odmienniej opiewa podanie o tymsamym jak się zdaje niedźwiadku czyli niedźwiedzioczłowieku w pamiętnikach Connora. Czytamy tam co natępuje:

„Żadna z prowincyj polskich nie ma tyle puszcz i lasów co Litwa. Między temi zasługuje na osobliwszą uwagę pewna okolica lesista, mająca do stu mil długości, zamieszkana przez lud dziki i nieokrzesany, chociaż sama szlachta litewska pod względem ogłady obyczajów i oświaty pierwsze w towarzystwach polskich zajmuje miejsce. Podczas mojego pobytu na dworze królewskim opowiadano mi jako rzecz niewątpliwą i w całej Polsce wiadomą, iż niedźwiedzie, napełniające w niezmiernej liczbie lasy litewskie, unoszą dość często dzieci ludzkie, wykarmiają je potem i wychowują. Za moich czasów było jedno z takich dzieci w pewnym klasztorze, o czem wspomniałem już w mojej łacińskiej rozprawie *De suspensione legum naturae*. Chłopiec ten, sądząc z jego postawy i powierzchowności, mógł mieć około lat dziesięciu, był twarzy nader szpetnej, nie umiał mówić i pozbawiony był wszelkiego pojęcia. Chodził na nogach i na rękach, a prócz ludzkiej budowy ciała, trudno było dopatrzyć w nim czegoś człowieczego. Ochrzczono go przecież, domniemywając się w nim duszy ludzkiej. Objawiał przytem zawsze jakąś dziwną niespokojność w twarzy i ruchach, i kilkakrotnie próbował uciec. Przypierając go do ściany, próbowano najpierwej nauczyć go stać na dwóch nogach, podobnie jak uczymy psy służyć, podniosłszy im przednie łapy. Powoli przyzwyczajono go także jadać wraz z ludźmi przy stole, i z czasem przyszło do tego, że osobliwszy ten chłopiec oswojony z nowem życiem, jął twardym, chropowatym głosem objawiać swoje myśli i uczucia. O swoim przecież pobycie w lesie nie

umiał nic zgoła powiedzieć, podobnie jak i my niepotrafilibyśmy zdać sprawy z tego, co się działo z nami w kołysce. Wszystko to opowiadał mi jako rzecz niewątpliwą sam król Sobieski, w przytomności kilku senatorów i innych dostojników królestwa. Powiadają iż jeśli niedźwiedź znajdzie na polu lub w lesie dziecko, pozostawione samopas przez nieostrożność rodziców, tedy rozdziera je na miejscu; przeciwnie zaś postępuje sobie niedźwiedzica, mająca młode. Unosi ona dziecię nieuszkodzone do swojej nory, i hoduje je wspólnie z własnemi szczeniętami. Często udaje się myśliwym ocalić uniesione w ten sposób dziecię, co też miało zdarzyć się właśnie owemu chłopcu."

---

Ulubione przysmaki sławnych mężów. Najulubieńszą potrawą *Karola W.* była pieczeń, a szczególniej dziczyzna, którą sami strzelcy wnosili z rożnem na stół cesarski. *Henryk IV* jadał bez miary ostrygi i melony, przez co bardzo często nabawiał się niestrawności. Pijał też najchętniej wino zwane *d'Arbois*, lubo znawcy niewiele przypisują mu zalet. *Karol XII* przenosił chleb z masłem nad wszystkie znane przysmaki. *Luther* bardzo lubił wino reńskie i piwo torgawskie, *Melanchton* był wielkim przyjacielem jęczmiennych kleików. Podczas swojego pobytu w bursie tybingskiej dawał nieraz za porcyę kleiku porcyę mięsa. Lubił także niezmiernie kiełbiki i inne drobne rybki (*melanuras et fondulas*), niemniej też jarzyny i wszelkie „powidełka". Za to nie mógł znieść żadnych potraw mięsnych, i sam opowiadał o sobie, że bardzoby mu łatwo przyszło naśladować tryb życia Pythagorasa. *Torquato Tasso* był wielkim miłośnikiem wszelkiego rodzaju konfitur, pierników i innych tym podobnych łakoci. Nawet sałatę jadał z cukrem. *Voltaire* pijał namiętnie czarną kawę, podobnie jak Napoleon i Frydryk W. *Crebillon* młodszy był w stanie spożyć naraz bajeczną ilość ostryg. *Kant* jadał najchętniej soczewicę, pasternak ze słoniną, budeń pomorski, groch z wieprzowemi nogami i suszone owoce. Przy obiedzie siedział zwyczajnie od pierwszej do czwartej godziny. *Szyller* był za młodu wielkim miłośnikiem szynki. Przechowuje się dotąd miesięczny rachunek pewnego traktyernika z Sztutgardy z r. 1782, gdzie pod każdym dniem obok miernej porcyi wina krajowego stoi także porcya szynki. *Wieland* lubił do najpóźniejszych lat sucharki i wszelkiego rodzaju pieczywa. Nieraz wstawał o północy z łóżka, a zjadłszy kilka ciasteczek szedł spać napowrót. W starości lubił często pokrzepić się kieliszkiem wiśniaku. O *Popem* opowiadają biografowie, że dobry obiad cenił sobie nad wszystkie honory świata; *Göthe* pozostał do śmierci wielkim miłośnikiem szampana.

Machina rachunkowa. Świat uczony zajmuje się temi czasy w wysokim stopniu pewnym nowym wynalazkiem, którego użyteczność praktyczna nie da się bynajmniej zaprzeczeć. Długoletnim niezmordowanym usiłowaniom niejakiego p. *Thomas* z Kolmaru powiodło się wynaleźć sposób rachowania za pomocą mechaniki. Machina jego, nazwana *Arithmometer*, dokonuje w łatwy sposób najprostszych i najzawilszych operacyj arytmetycznych, a pozwala się użyć nietylko do zwyczajnych trybów liczenia, lecz także do potęgowania, do wyciągania pierwiastków, do przemieniania ułamków zwyczajnych w ułamki decymalne, wreście do wszystkich operacyj na podstawie reguł o proporcyach. W szybkości rachowania przewyższa ten osobliwszy instrument najbieglejszego rachmistrza. Do pomnożenia jednej ośmiocyfrowej liczby przez drugą tejsamej wysokości potrzebuje on 18 sekund, do podzielenia dziesięciocyfrowej liczby przez ośmiocyfrową dość mu 24 sekund, do wyciągnięcia pierwiastku kwadratowego z liczby szesnastocyfrowej wystarcza jedna minuta. Mechanizm instrumentu jest tak prosty, że w pięciu minutach może się każdy jaknajlepiej z nim obznajomić, i przystąpić zaraz do najtrudniejszych rachunków. Mała skrzyneczka drewniana chroni go od uszkodzenia, i nadaje mu wcale niepretensyonalną powierzchowność. Słychać że znalazł już przyjęcie w wielu kantorach bankierskich, i usprawiedliwił wszelkie oczekiwania.

Najwyższa góra w świecie. Była nią dotąd znana góra *Devalagiri* w łańcuchu Himalaji: teraz pod 87 stopniem północnej długości, w północno-wschodniej stronie *Katmandhu* odkryto nową olbrzymią górę, której szczyt sięga 29.000 stóp. Na ostatniem posiedzeniu londyńskiego towarzystwa azyatyckiego, dnia 17 stycznia b. r., naradzano się nad umianowaniem tego najwyższego z kolosów ziemskich.

Chińska sprawiedliwość w wieku XVII. Umarł jeden z cesarzów tatarskich. Jego następca przyjął za wstąpieniem na tron zwyczajny w takim razie przydomek, złożony z dwóch wyrazów mowy powszedniej, mających oznaczać charakter jego rządów. Od chwili takiego uczczenia obudwóch słów wybranych, nie należały one już do zwyczajnego języka, i pod karą ćwiertowania nie wolno było używać ich nikomu. Owoż zdarzyło się, iż pewien uczony chiński jeszcze za panowania nieboszczyka cesarza ułożył słownik, w którym znajdowały się także owe dwa słowa zakazane. Co gdy doszło do dworu, został natychmiat uwięziony, a sąd skazał go na ćwiertowanie w dziesięć tysięcy sztuk. Nieszczęśliwy uczony zaniosł prośbę do przybocznej rady cesarskiej, przedstawiając pokornie, iż książka jego była jeszcze pod zmarłym cesarzem w druku. Na to sam władzca postanowił roztrząsnąć sprawę. Po długim zaś i wytrawnym namyśle uznał, iż uczony zasługuje rzeczywiście na pobłażliwość monarszą, albowiem zbłądził tylko przez nierozwagę. Jakoż ze względu na to skazał go na proste ścięcie mieczem, któryto złagodzony wyrok został niezwłocznie wykonanym.

Myśl. Tylko powierzchowni ludzie są przyjaciołmi zarówno każdego, z kim się tylko spotkają, podobnie jak arszenik łączy się z każdym metalem. Albo można to przyrównać do pewnych obrazów, które zdają się oglądać na każdego przechodnia.

**Przypowieści.** — Kto ma sześć koni w wozie, tysiąc złotych w szkatule, a pannę we dwu milach, ten może czapkę na stole położyć.

Konia bez odmiany oddać, z jedną sobie chować, ze dwiema przyjacielowi, ze trzema nieprzyjacielowi, a ze czteroma sprzedać.

---

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*